

Antoni Szymkowicz
Relację nagrała Janina Wołczuk
Temat: Ziemia Lidzka...



Urodziłem się 6 V 1919 roku w Wierzchlidzie powiat Lida województwo nowogródzkie. Rodzice: Jan i Józefa z d. Rakowska. Ojciec był z Wierzchlidy, a matka pochodziła prawdopodobnie z Ciabów, ale wcześniej została sierotą i wychowywała się u wujka w Wilnie, a później w Lubawie. Matka moja była trochę wykształcona - umiała czytać, pisać. A ojciec czytał tylko drukowane litery. Ojciec był rolnikiem. Miał w Wierzchlidzie około 7 ha. Wieś była biedna, przeludniona. Nie było żadnego przemysłu.

W Lidzie była odlewnia i fabryka maszyn rolniczych, jedna gwoździelnia, tartak i dwa młyny. Krótce przed wojną wybudowano fabrykę Ardał, która produkowała wyroby gumowe. Dawniej ludzie emigrowali do Ameryki. Wyemigrował także brat mojego ojca. Z Wierzchlidy wyemigrowało więcej ludzi, a do wsi nie wrócił nikt z tych emigrantów. Przed wojną na naszej wsi były jeszcze sochy, bardzo rzadko, ale jeszcze były. Młócono przeważnie cepami. Młóckarnie i kieraty pojawiły się później: jak uciekali Rosjanie i przychodzili Niemcy, wtedy w Lidzie rozszabrowano fabrykę i ludzie zaoopatrzili się w maszyny rolnicze. Ja sam już miałem młóckarnię.

Młódzież nie miała pracy, gospodarstwa rozdrabniały się, żyło się biednie. Z Wierzchlidy nikt nie zdobył wykształcenia średniego. Ja chodziłem do szkoły z do Sporkowszczyzny - do I-III klasy, a do IV i V chodziłem do Kołyszek. Do IV i V klasy chodziłem tylko od 1 listopada do 1 maja, bo trzeba było paść krowy. Ale zdawałem do następnej klasy. Lubiłem dużo czytać. W V klasie nie miałem ani jednej książki, ojca nie było stać na kupno książek dla mnie. Miałem koleżankę, której rodzice kupili książki, to zaglądałem do niej. W szkole nie było żadnej pomocy dla dzieci niezamożnych.

W I-III klasie uczyła nauczycielka miejscowa - Najdowa. Najdowa została potem wywieziona do Rosji, bo mąż jej był wójtem. Najdy nie wywieźli, bo on się ukrył w czasie wywózki. Spotkałem go potem w Pile. Był we Wrocławiu inspektorem nadzoru przy skupie lnu. Opowiadał mi, że żona wróciła z Syberii z jednym z dziećmi, a drugie zmarło tam. Najdowa była potem nauczycielką we Wrocławiu. Najda też był nauczycielem - w Wierzchlidzie, a kiedy szkoła przeniosła się do Sporkowszczyzny, to uczyła jego żona, a on został wójtem. Najdowie pochodzili z Małejkowszczyzny /przedmieście Lidy/, Najda był wójtem lidzkim.

W Kołyszkach nauczycielką była Lucja Majherowa /jej mąż też

Antoni Szymkowicz c.d.

był nauczycielem/. Za okupacji niemieckiej Majcher podobno pracował jako szewc - naprawiał buty. Oni nie byli wywiezieni na Sybir.

Kiedy zmarł Piłsudski, służyłem w folwarku w Dylewie. Właścicielami Dylewa byli Steccy i Sieheń. W Dylewie było radio, słuchaliśmy więc sprawozdań. O tym wydarzeniu wiedzieli wszyscy.

Przed wojną nie zauważyłem propagandy komunistycznej. Byłem już wtedy w Kobylnikach. Kiedy przyszli Rosjanie, to nikt się nie ucieszył. Ludzie ze wsi wiedzieli, że w Rosji są kołchozy, i tego się najbardziej bali. O kołchozach wiedzieli i z propagandy polskiej - z gazet, z radia. Ale ludzie też byli i ciekawi. Na początku nie mieliśmy żadnej styczności z Rosjanami. Ale potem na wieś do Kobylnik przyjechał jeden krasnoarmiejec i dziewczyna komsomołka. Organizowali spotkania, gadali, że ziemi nie zabiorą, ale jeszcze chłopom dadzą, bo rozparcelują majątki. Potem ten wojskowy odjechał, a ta dziewczyna została chyba ze dwa tygodnie, ale była tak stremowana, że żadnej agitacji prawie nie prowadziła.

Początkowo władzy nie było żadnej. Wybory były zimą 1939/40. Trzeba było wybrać radnych - deputatów. A sołtys to był "upokornoczennyj". W Kobylnikach był ten sam sołtys sprzed wojny - i za pierwszych sowietów, i za Niemców i za drugich sowietów. Był nim Załoga, a ja byłem jego zastępcą. Sołtysa nie wywieźli na Sybir - on nie był bogaty, miał 9 ha ziemi. Z Kobylnik w 1940 roku nie wywieziono nikogo, bo tam nie było kułaków. Podczas pierwszej wywózki zabrano urzędników państwowych, a potem osadników. Wywieziono całą osadę Cieszkiele. Jeden mężczyzna z Kobylnik był leśniczym gdzieś na Wileńszczyźnie. Przyjechał do matki do Kobylnik, matka była wdową. W tym czasie wywieziono z Wileńszczyzny jego żonę z dzieckiem, więc on dogonił żonę i też został zabrany na Sybir. Nazywał się Gniedowicz /Gniadowicz?/. Ale niektórzy mężczyźni np. z Cieszkiele nie zostali wywiezieni, bo akurat w czasie wywózki nie było ich w domu.

W 1939 roku nie byłem zmobilizowany, byłem rocznikiem przedpoborowym. Ale w październiku 1940 roku Rosjanie powołali mnie do Armii Czerwonej, mimo że nie byłem przecież obywatelem radzieckim. Służyłem w Pskowie w artylerii przeciwlotniczej. W grudniu 1940 była przysięga. Z naszej wioski /s Kobylnik/ wzięto mnie jednego. Ale w naszym dywizjonie było nas 12 Polaków z Lidzkiego. 4 stycznia 1941 roku czyściliśmy broń. Nagle wpadł do nas starszyna, wołał i kazał zgłosić się do magazynu. Tam kazano nam przebrać się w swoje rzeczy, ale my nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Z naszej dwunastki 7 puszczono do domów, a jeden podał się podobno za Białorusina, a pozostali byli Żydami. I ich nie wypuszczono.

Antoni Szymkowiec c.d.

Ja zawsze podawałem, że jestem narodowości polskiej - przed komisją poborową i potem w wojsku. Nie było żadnych nacisków, żeby podawać inną narodowość.

A wtedy zawołali nas do sztabu, jednego wyznaczili szefesa, dali w kopercie zalakowane dokumenty i skierowali do swojego Wojenkomatu /do Lidy/. Przyjechaliśmy do Lidy, jeszcze było ciemno, zaczęliśmy u znajomego do rana, potem poszliśmy do wojenkomatu, a tam odprawiono nas do domu /to już chyba było porozumienie pomiędzy Rosją i Sikorskim?/. Ale później, chyba w kwietniu 1941 r., dwóch spośród nas powołano jeszcze raz do rosyjskiego wojska - nie wiem, co się stało z tymi chłopcami. A ja już zostałem w domu do czerwca, a potem wybuchła wojna.

W 1939 roku w wojsku byli z Kobylnik: 3 Załogów, Wirszyło /nie wrócił z wojska, prawdopodobnie zginął/. Jeden z Załogów - brat sołtysa dostał się do niewoli niemieckiej, pracował u bauera i wrócił do domu. Prawdopodobnie nawet nie uciekł, tylko dogadał się z bauerm - że ma żonę, dzieci i gospodarkę - i ten go puścił. Potem tego Załogę niby poszukiwali, ale on już tak i został. W wojsku było jeszcze więcej ludzi, ale wszyscy powracali.

Potem tych dwóch Załogów, którzy byli w wojsku polskim, w 1945 roku zabrali Rosjanie. Rzecz się miała tak: Rosjanie ogłosili pobór do wojska polskiego, ale nie było żadnych przedstawicieli władz polskich. Rosjanie zabierali mężczyzn, odwozili do Białego-stoku i przekazywali Polakom. Nikt nie chciał się do Rosjan zgłaszać, więc brali ludzi w łapankach. U nas była żałoba, kiedy dowiedzieliśmy się, że zostajemy przy Rosji. Więc ludzie pytali: z jakiej racji mam iść do polskiego wojska, skoro w Polsce nie jestem, za kogo mam się bić? Więc Rosjanie robili łapanki: okrążali wioskę w nocy i przeczesywali domy. I tak wzięli Załogów, jeszcze jednego Wirszyłę i szwagra Załogów. Ten szwagier zginął w Kołobrzegu. Załogowie wrócili potem obaj do Kobylnik i żyją tam do dzisiaj, a Wirszyło został w Polsce. Załogowie nie mieli żadnych kłopotów po powrocie.

Partyzantka u nas rozpoczęła się zaraz po przyjeździe Rosjan w 1939 roku, ale to było nieśmiałe. Na szerszą skalę rozpoczęło się wszystko, kiedy przyszli Niemcy. AKowcy mocno działali w Dworzyszczach. Tam był młyn wodny i kopalnie torfu. Właścicielem Dworzyszcz był Amberh - Łotysz. W Dworzyszczach stała żandarmeria. Amberha wywieźli Rosjanie. Na żandarmerię w Dworzyszczach w biały dzień napadli AKowcy. To była bardzo dziwna akcja: poprzedniego dnia była rozbita żandarmeria w Iwju czy gdzieś w pobliżu. AKowcy przebrali się w niemieckie mundury, byli w optrunkach - udawali

Antoni Szymkiewicz c.d.

ranych Niemców, jechali samochodem. Niemiecki wartownik na wieży wpuszczył ich na teren posterunku. Akcja była taka, że żaden AKowiec nie zginął, a spośród Niemców ucierpiało chyba tylko dwóch. Prawda, tam byli też własowcy, to własowców AKowcy rozstrzelali, natomiast Niemców rozebrali, zabrali im broń i puścili. A jeden Niemiec był w tym czasie we wsi - i ten wskoczył na koń i popędził na Lidę. Na wieczór przybyły posiłki niemieckie, ale już nikogo nie zastali. Nie mścili się na ludności ze wsi.

Kiedyś tylko w Bjtunach Niemcy wymordowali 2 rodziny - wyprowadzili wszystkich na wygon i rozstrzelali. A domy ich obsypali jakimś proszkiem i spalili.

Z Niemcami w naszych okolicach to była jeszcze inna sprawa: podobno Niemcy uzbroili jeden oddział AKowców - przeciwko partyzantce radzieckiej! W tym z czasie zaczęła intensywnie działać partyzantka radziecka. Ale potem ten oddział AK, uzbrojony przez Niemców, zwrócił się przeciwko Niemcom.

II strona taśmy

Przez całą wojnę byłem w Kobylnikach. Żyło się prawie normalnie, bo trzeba było żyć.

W Zielone Świątki 1946 roku przewodniczący sielsowietu, jego teściowa, szwagierka i żona byli w Paszuncach. Sielsowiet mieścił się w Dworzyszczach. Przewodniczący - Rosjanin był już z rodziną, zadomowiony. Z Paszunców wracali oni wszyscy do domu - przez Kobylniki. Przy bramie swego domu stał jeden z gospodarzy - Zwiarko. Zaczął rozmawiać z przewodniczącym i potem zaprosił go do siebie do domu - w gościnę. W czasie poczęstunku wpadli do izby partyzanci - dwóch z nich znaleźmy - to byli z Paszunców Łukksa i Bocianowski /ale "Bocianowski" to było tylko przydomko/. Wystrzelali tych Rosjan za stołem. Potem partyzanci wyskoczyli na wieś i napotkanych mężczyzn zmusili, żeby zawieźli tych zabitych Rosjan do lasu i zakopali. W tym brało udział 8 mężczyzn.

I wszystko było cicho aż do października. Władze poszukiwały przewodniczącego, ale nikt z miejscowych nic nie mówił. Było więc cicho aż do jesieni. Potem w Sućkach Rosjanie aresztowali kilka osób z innego powodu i ci aresztowani prawdopodobnie powiedzieli o tym, co było w Kobylnikach. I tu się zaczęło: w nocy przyjechali Rosjanie, zabrali Zwiarko, sołtysa Załogę i tych, co zakopywali ciała. Nad ranem zastukali do mnie i powiedzieli, że ponieważ sołtys jest aresztowany to ja jako zastępca sołtysa muszę być obecny przy ekshumacji, żeby podpisać protokół. Odbyła się ekshumacja, przy zabitych znaleziono niektóre papiery, ale nie można było nic

odczytać. Powiedziano więc, że jedziemy do Lidy. Tam w NKWD tych aresztowanych zabrano na przesłuchanie, a ja czekałem na dyżurce. Przesłuchiwani powiedzieli, że o tym morderstwie wiedzieli wszyscy ludzie we wsi. Wiedziałem też i ja. Wobec tego postawiono mi zarzut, że ja wiedziałem, a nie zameldowałem - "znał, no nie ukazał". Powiedziałem, że cała wieś wiedziała o tym; ale mnie już w Lidzie zatrzymano, aresztowano i nie wypuszczono.

Sądzono mnie w Lidzie. Sąd był za zamkniętymi drzwiami, był prokurator i byli obrońcy z urzędu. Oskarżono mnie: najpierw przypisywano mi różne artykuły - zabójstwo-współuczestnictwo i t.d. Ale w końcu stanęło na 73 artykule "znał i nie ukazał". Obrońca mówił, że jeżeli sądzić mnie, to trzeba osądzić całą wieś z dziećmi włącznie, bo wszyscy wiedzieli. A prokurator powiedział, że przecież nie byłem w wojsku, unikałem służby wojskowej, więc może zabiłem nie jednego bojca radzieckiego i t.d. Dostałem 7 lat + 3 lata pozbawienia praw obywatelskich.

Siedzieliśmy do marca w Lidzie, CI, którzy zakopywali zabitych /i potem ekshumowali/ dostali po 10 lat. Partyzanci, którzy zabili tego przedsiębiorcę, dostali karę śmierci, zamienioną potem podobno na 20 lat, ale nigdy nie wrócili do domu - i ślad po nich nawet zaginął.

Z Lidy przewieziono nas do więzienia do Orszy. Tamtej siódemce zarzucono, że współuczestniczyli w morderstwie, bo w dole tym znaleziono kamienie /gleba u nas była kamienista/, więc uznano w sądzie, że oni tymi kamieniami niby dobijali rannych.

W więzieniu w Orszy w niedużej celi siedzało chyba z 350 osób. Było tak ciasno, że nie było miejsca do siedzenia, nie można było przejść do beczki, żeby się zakatwić. Musieliśmy siedzieć ściśle przytuleni plecami do siebie. Po trzech dniach przeniesiono nas do innej celi, było tam m.in. dwóch polskich księży. To była cela ni- by polityczna. Nas z Lidy było sporo: Załoga, Zwiarko, Usiel, Kasparewicz, Hryczyński, D., lenkiewicz, dwóch Buczyńskich z Bieniejek, Łuk z Kobylnik - oni dostali po 10 lat, i ja - 7 lat.

Z tej naszej grupy potem do Polski wróciliśmy ja i Dzienkiewicz /on był w Workucie/. Zwiarko zmarł na Syberii. Nie wrócił jeden z Buczyńskich. Nie wrócił Kasparewicz. Kasparewicz był po raz drugi żonaty i miał z drugiego małżeństwa dzieci. Jechał razem z nami do Polski, dojechał do Brześcia. W Brześciu nas namawiano, żeby zostać w Związku Radzieckim. Kasparewicz prawdopodobnie chciał zdecydować się zostać, żeby wrócić do Kobylnik. Zostawiono go w Brześciu, tam czekał chyba ze 3 miesiące na decyzję z Moskwy. Ale ponieważ przyjął obywatelstwo radzieckie, to amnestia go nie objęła, wrócił do obozu dosiedzieć swój wyrok - i stamtąd nigdy już

Antoni Szymkiewicz c.d.

do domu nie wrócił.

Do Kobylnik wrócili: Hincewicz, Żuk, jeden Buczyński i Załoga. Wrócił też Dudzis. Ale wrócili dopiero po 9 latach. Amnestia w 1948 roku ich nie objęła. Dudzis przyjechał z całą rodziną w 1959 roku do Polski. Przyjechali do Usielów. Okazało się, że kiedy w 1947 roku wypełnialiśmy na Syberii ankietę - 12-stronicową, w której trzeba było podać nawet to, a w jakim kościele było się chrzczone, to oni podali się jako Białorusini - liczyli, że będzie im łatwiej niż jako Polakom.

Z Orszy wywieźli nas do Sarowa, a stamtąd do obozu. Były 3 obozy. W naszym było aż aż 12 tysięcy ludzi. Był też żeński obóz, w byłym klasztorze; tam było 7 tysięcy kobiet. Nasz obóz podlegał pod nadzór wojskowy. Była tam fabryka katusz, lotnisko w lesie i fabryka samolotów. Dostaliśmy tam sienniki, więzienie było lepsze niż w Orszy. Wychodziliśmy do pracy przy grającej orkiestrze. Ponieważ jednak byliśmy więźniami politycznymi, nie nadawaliśmy się do tej produkcji wojskowej. W Sarowie byliśmy około 3 miesięcy. Potem zawieźli nas do Stalinska /Nowokuzniecka/. Stalinsk był za Nowosybirskiem. Był tam straszny element: okradli nas w nocy, w stołówce powyrywali nam chleb z rąk - tam byli sami kryminaliści. Nie byliśmy tam długo. Dudzis, Usiel i ja zostaliśmy przewiezieni do PrępaProkopiewska. Byliśmy tam aż do mojego wyjazdu.

Propo

Prokopiewsk to było miasto. Obóz był za miastem. Można było pisać listy i dostawać paczki. Dostawałem paczki z domu.

Obóz w Prokopiewsku liczył około 5.200 osób - mężczyzn i kobiet. Baraki były półziemiankami. Na pryzkach nie było żadnej pościeli, prycze były gołe. Spaliśmy w tym, w czym chodziliśmy. Tylko buty chowaliśmy pod głowę, żeby w nocy złodzieje nie zdjęli ich z nóg. Zima była surowa, ale palili bez przerwy w żelaznym piecu. Myśleliśmy o tym, żeby choć raz najeść się do syta chleba. Pracowaliśmy przy budowie drewnianych domków - prawdopodobnie dla górników. Pracowało się od świtu do nocy. Do terenu budowy dochodziliśmy pieszo około 4 km. Były tam też inne prace - cegielnia, tartak, kamieniołomy. Ale ja byłem przez cały czas na budowie, razem z Dudziszem i Usielem. Była tam jeszcze jedna kobieta z naszych stron, ale nie interesowałem się innymi, bo człowiek myślał tylko o tym, żeby jakoś przeżyć.

Wyżywienie było straszne. W 1947 roku gdzieś późną wiosną zaczęli przywozić skądś przerywane buraki czy liście kapusty i zaczęli gotować z tego zupę. Zaczęła się dezynteria. Ludzie umierali tak, że dwaj stolarze robili bez przerwy prowizoryczne trum-

Antoni Szymkowicz c.d.

ny. Był też niby-szpital, ale i tam umierało dużo ludzi i codziennie rano z baraków wnoszone zmarłych. Wtedy wymarło około 1/3 ludzi. Później niby zabroniono tego jedzenia, ale to nic nie dało. Mysmy się uratowali dzięki temu, że jeden starszy Rosjanin kazał nam jeść z chlebem węgiel, który mieliśmy z ogniska palonego na budowie. Tarliśmy ten węgiel i jedli.

Do racji żywniowej wchodziły ziemniaki - zmagazynowane na mrozie. Takie pomarżnięte ziemniaki rąbaliśmy i gotowali. Ziemniaki były koloru czarnego. Dostawaliśmy 550 gramów chleba, a przy przekroczeniu normy można było dostać do 700 gramów. W dzień roboczy dostawaliśmy jedzenie w dwóch porcjach, ale w niedzielę wydawali naraz całą porcję, to nie było siły, żeby człowiek potrafił odłożyć odrobinę aż do wieczora - tak korciło, że potrochu-potrochu i zjadło się ten chleb od razu.

Paczki z domu były błogosławieństwem. W obozie była tzw. kaptiora /magazyn/, gdzie można było te paczki przechować, bo w barakach strasznie kradli. Ale w kaptiorce też paczki /albo z paczek/ ginęły.

tasma II

W więzieniu w Orszy siedział ze mną Butkiewicz. Ten Butkiewicz umiał wróżyć. Wywróżył mi, że nie będę siedział do końca wyroku, że wyjdę wcześniej, ale do domu nie wrócę, żony nie zobaczą. I to się sprawdziło.

Kiedyś śnił mi się sen: chcemy się wydostać z jakiejś przepaści i nie możemy. Ale ja wyszedłem na jakąś słoneczną równinę i wołam pozostałych z obozu. Opowiedziałem ten sen Rosjaninowi, który spał koło nas w lagrze /bo my spaliliśmy na jednej pryczy - ja, Dudziel i Usiel/. A ten ruski powiedział, że ja wyjdę na wolność.

Kiedy przyszło uwolnienie, to ja byłem w pracy, a Dudziel z Usielen byli chorzy. Zawołano mnie z pracy i oświadczone, że jako polski obywatel wyjeżdżam do Polski. Zwolniono wtedy mnie i jednego Żydka, dopiero później się dowiedziałem, że on był pochodzenia polskiego. Ale on siedział za złodziejstwo - pracował w jakiejś fabryce i ukradł jakiegoś oleju trochę czy coś takiego. Dano nam dwóch konwojentów i zawieziono pociągiem do Stalinska. To był marzec 1948 roku.

W stalinsku spotkałem Zwierkę, Buczyńskiego - oni tam byli w lagrze. Mnie do roboty już nie wysyłano, chodziłem tylko do stółki i leżałem na pryczy. Tam nas zebrano chyba ze 7 osób i zawieziono do Nowosybirsk. W Nowosybirsku posadzono nas do więzienia. Ponieważ w rosyjskim kodeksie 73 § jest za gwałt, trafiłem więc przez pomyłkę do celi kryminalistów. Jak tylko wszedłem, to

Antoni Szymkowiec c.d.

mi od razu wyrócili wszystkie kieszenie - a akurat Zwiarko dostał paczkę i miałem od niego co nieco do jedzenia.

W Nowosybirsku przesiedziałem około tygodnia. Potem zawieźli mnie do Swierdłowska - tu już uzbierano nas więcej. Najwięcej w transporcie było Żydów polskiego pochodzenia. W Swierdłowsku było nas już dwie cele mężczyzn i jedna cela kobiet. Siedzieliśmy już drugi tydzień - wyprowadzano nas tylko na spacer. Nic się nie działo, więc się zgodziliśmy i zaczęli głodówkę. Komendant latał, latał i powiedział, że załatwi nasz wyjazd w ciągu trzech dni.

1 Maja załadowaliśmy się do wagonów towarowych; jechał z nami też kocioł do gotowania zupy. Dostawaliśmy też porcję chleby. Było nas 401 osób. Przywieźli nas do Brześcia 18 maja - od 1 maja byliśmy w drodze. Zanim dojechaliśmy do Moskwy, to staliśmy czasami całymi dniami. W Moskwie dołączyli do naszego transportu jeńców niemieckich, zwolnionych z niewoli. Wtedy pojechaliśmy szybciej.

W Brześciu znów posadzono nas do obozu. Być może to był polniemiecki obóz dla jeńców. Tam nas trzymali 3 dni. Tu właśnie namawiano nas do pozostania w Związku Radzieckim. Jeden Żyd zdecydował się pozostać. Potem wygnano nas rano na plac. Padał zimny majowy kapusniaczek. Staliśmy na tym placu zsiębnięci i przemoknięci do południa do popołudnia. Nie mogliśmy nawet rozmawiać, bo zęby szczekały z zimna. Przyjechała polska delegacja wojskowa. Sprawdzili tylko listy, podstawili wagony - ale rosyjski konwój został już zdjęty. Zaczęliśmy palić jakieś ogniska w wagonach, chcieliśmy się ogrzać. Ruszyliśmy w nocy, koło północy byliśmy już w Terespolu.

W Terespolu była już gorąca zupa, można było jeść kto ile chciał. Ludzie wymieniali adresy. Zawieźli nas do PURu w Białej Podlaskie. Tam przyjęli nas bardzo życzliwie - nakarmili, napoili. Porobili nam zdjęcia, dokumenty. Nie mieliśmy w rękach nic, wydano nam tylko "Kartę ewakuacyjną". Dostaliśmy paczki UNRRowskie i ubrania z UNRRy. W paczce żywnościowej - 8-kilowej były nawet serwetki do wytarcia ust. Dali nam bilety - kto gdzie chciał. Ja zgłosiłem się do Piły, bo tutaj była rodzina Załogów. Ale znalazł się werbowski z Wrocławia, od Złotoryi. Zaczął werbować do PGRu. Zebrało się nas parę osób - 22 osoby, m.in. dziewczyny z Wasiliszek, z Żołudka.

Jedna dziewczyna z Wasiliszek miała taką historię: jej brat repatriował się z żoną i z siostrą żony. Ale szwagierka nie pojechała, więc na te dokumenty jechała ta dziewczyna. Na granicy zabrano ją za nielegalne przekroczenie granicy i dostała 3 lata. Wracała z nami.

Antoni Szykowiec c.d.

Pracowaliśmy w jednym PGRze wszyscy razem. Był też z nami jeden kawaler z Grodna.

W sierpniu 1948 roku przeprowadziłem się do Piły i tu już zostałem. Żona w Kobylnikach wyszła za mąż już w 1953 roku, a ja się tu ożeniłem dopiero w 1957 - sprawdziło się, co mi przepowiedział Dutkiewicz w kartach. Gdyby był zainteresował się sprowadzeniem żony wcześniej, to może by mi się udało - bo jeszcze do sierpnia można było przyjechać. Interweniowałem i w Warszawie, i w ambasadzie rosyjskiej, i w konsulacie w Szczecinie. Chciałem wracać do Kobylników, ale mi powiedziano, że skoro byłem ewakuowany /z więzienia!?, to mogłem wrócić tylko przyjmując radzieckie obywatelstwo - a wtedy nie mógłbym korzystać z amnestii! i znów pojechałbym za Ural.

Nie repatriowałem się wcześniej - w 1945-46 roku, chociaż wypełniłem dużo wniosków innym ludziom, którzy wyjeżdżali do Polski - z Paszunców, z Bieniejek. Chciałem też wyjechać, ale byłem usynowiony przez ludzi starych - oni mnie przyjęli na swoje gospodarstwo. Oni nie chcieli wyjechać za żadne skarby - on był chorowity. Zostawić starych ludzi samych, ludzi, którzy mnie wzięli za syna - nie mogłem. I tak zostałem po wojnie w Kobylnikach.

Pisałem dużo wniosków o repatriację, ale ludzi nie wyjechało zbyt dużo - chyba jedna rodzina z Paszunców, ze dwie rodziny z Bieniejek. Wyjeżdżali ci ludzie, którzy bali się, że przy Rosjanach będą kułakami. A średniaki zostawali. Na wsiach ludzie nie chcieli rzucać wszystkiego i wyjeżdżać. Wyjechało dużo ludzi z miast. A niektórzy ludzie zgłaszali się, składali wnioski, a potem rozmyślali się i rezygnowali z wyjazdu. Z Kobylnik wyjechali tylko Załogowa z synem i siostrzeńcem. Potem w 1959 roku przyjechali Usiele i Dudzisy.

Teraz, kiedy byłem w Kobylnikach, to wszyscy moi współtowarzysze z więzienia już pomierali. Jak byłem jeszcze w 74 czy 75 roku, to był jeszcze ten sołtys Załoga. Przyjeżdżał do mnie do Lidy. Spośród nich ja byłem najmłodszy.

Kiedy nas wieźli z Orszy do Sarowa, to załadowali nas do wagonu pulmanowskiego, ale dojechaliliśmy do Moskwy dopiero na 4-ty dzień. A suchoj pajok dali dopiero na 4-ty dzień. Trzy dni nic nie jedliśmy. W Moskwie dali nam suszoną rybę. Jak się najedliśmy, to zaczął się niesamowity ryk, żeby nam dali wodę - a wody nie dawali. Po prostu znęcali się nad ludźmi. Wśród więźniów byli i ludzie wykształceni - inżynierowie, lekarze. Byli wśród nich bardzo porządni Rosjanie. Z nami siedział jeden lejtenant. Dostał wyrok za to,

Antoni Szymkowiec c.d.

ze pracując w jakimś warsztacie samochodowym powiedział przy naprawie studebackera, że wozy amerykańskie są jednak lepsze od radzieckich. I dostał 10 lat za wrogą propagandę.

W PGRze pod Złotoryją były z nami też 3 Rosjanki gdzieś spod Kijowa. Jedna z nich dostała 8 lat za to, że kiedy organizowały się oddziały Andersa i taki oddział maszerował koło nich, ona powiedziała do sąsiadki, że polskie wojsko jest przystojne. I za wrogą propagandę dostała 8 lat! A mąż jej zginął na froncie, dwóch synów zginęło w szeregach Armii Czerwonej. A ona potem wykorzystwała to, że miała rodziców pochodzenia polskiego i wyjechała do Polski. Inna młoda dziewczyna też wcale nie знаła Polski, ale podała się za Polkę, bo miała rodziców pochodzenia polskiego.

Po przyjeździe do tego PGRu stołowaliśmy się wszyscy razem. Gotowała jedna z kobiet. Kierownik PGRu nie żałował nam mleka ani maki. Wszyscy razem zajęliśmy ponemiecki budynek, w którym był piec chlebowy. Mogliśmy się wreszcie najść chleba do syta. Daliśmy szybko do normy.

W łagrze nie odniosłem trwałych uszkodzeń na zdrowiu. Jedynie zęby ucierpiały. Tam wszyscy cierpieliśmy na szkorbut. Potem dostawaliśmy przeciw szkorbutowi jakąś sałatkę z igliwia, ale to niewiele pomagało. Zęby zupełnie się chwiały.

Po przyjeździe Rosjan na nasze tereny ludzie nie mogli się pogodzić z tym, że na naszych ziemiach będą Rosjanie. Zaczęli się więc organizować. Do Kobylnik przyjechał niejaki Fedorowicz. Spotkałem się z nim parę razy. Bało nas kilku: trzech Usielów, ja, nie sołtys. U sołtysa złożyliśmy przyrzeczenie. Organizowaliśmy się do działalności zbrojnej, ale do działalności propagandowej. Ręcznie pisaliśmy ulotki. Fedorowicz nauczył nas, jak robić, żeby nikt nie rozpoznał pitem charakteru pisma. Ja pisałem dużo tych ulotek - przeciwko głosowaniu zimą 1945/46 roku. Wtedy wybierano nowe rady. Przed wyborami pisaliśmy całymi nocami, potem przyklejaliśmy do ścian domów. Agitowaliśmy, żeby nie iść do wyborów.

/II strona taśmy/ Z Kobylnik może ktoś potajemnie poszedł do wyborów, ale chyba nikt nie głosował. Przyjechał ktoś z sielsowietu i pyta: dlaczego nikt nie głosuje. To myśmy pokazali ulotki i powiedzieli, że boimy się. A w ulotkach były też pogróżki, i prośby i pogróżki.

Punkt wyborczy był w Hurynach. Do Hurynów szło się z Bieniejek przez Kobylniki. Nie widziałem, żeby z Bieniejek ktokolwiek szedł do wyborów. Ale mój znajomy, który wtedy w punkcie wyborczy. liczył

Antoni Szymkowiec c.d.

głosy, mówił, że głosowało może około 15%, ale w sprawozdaniu podano 99%.

W naszej działalności trzeba było czasem komuś w czymś pomóc. Później ten Fedorowicz gdzieś znikł. A my sami baliśmy się już jakoś organizować. Ale tej sprawy z wyborami Rosjanie nie dochodzili. Nikt zresztą nikogo nie wydawał i Rosjanie nie mogli liczyć na współpracę ludzi miejscowych.

Nie miałem kontaktów z partyzantami z lasów. Ale w tych latach były jeszcze akcje zbrojne. W Wierzchlidzie np. powstała sowiecka milicja, do której poszło chyba czterech miejscowych chłopców. Chłopcy ci dostali broń. Ale później ci milicjanci zaginęli, a po pewnym czasie znaleziono ich w rzece - powiązanych drutem, zastrzelonych i wrzucenych do wody.

Na nasze tereny zaczęli po wojnie napływać Rosjanie - urzędnicy, przewodniczący kolchozów.

W Trokielach przez cały czas - i podczas wojny i po wojnie był ksiądz. Brałem u niego ślub w 1942 roku.

Przed wojną chyba 1/3 ludności w Lidzie stanowili Żydzi. Kilku Żydów było w Żyrzynach, a na wsiach Żydów nie było. Jak weszli Rosjanie w 1939 roku, to Żydzi postępowali bardzo energicznie. Podnieśli głowy. Poszli do władz i do handlu - do sielpo.

Przed wojną na wsi było wesoło. Np. w Paszuńcach była orkiestra. W Wierzchlidzie było kulturalniej, niż np. w Kobylnikach, bo Wierzchlida była bliżej miasta. Tu młodzież przyjeżdżała z miasta, częściej brzmiał język polski. W Wierzchlidzie nauczycielka - Lucja Maher prowadziła w naszym domu kursy, zabawy, uczyła piosenek. Pracowała z młodzieżą. Uczyła pisać podania, bo choć ludzie umieli pisać, to nie potrafili napisać tego, co było potrzebne.

W Dylewie było sporo ksiątek. Właściciele folwarku też byli biedni, ale uważali się za inteligencję. Sieheń przyszedł w prymy do Steckiej. Sieheń wyjechał do Polski, a Stecki został w Dylewie ze służącą Klementyną, z którą chyba żył. Zenek Stecki /?/ został przez Rosjan aresztowany i słuch o nim zaginął. On należał do AK, miał broń.

NKWD obchodziło się z ludźmi gorzej niż gestapowcy., a Stalin był gorzszy od Hitlera, bo wymordował swoich obywateli. Jeden Rosjanin opowiadał, jak wyzwoleni z niemieckiego obozu pracy Rosjanie zostali potem bez żadnego sądu umieszczeni w ągrach. W drodze do Polaki spotkałem też niejakiego Huszczę. Jego ojciec był pułkownikiem w wojsku radzieckim, ale oni byli pochodzenia polskiego. W 1937 roku aresztowano jego ojca, potem matkę i on nie znał losu

Antoni Szymkowiec c.d.

swoich rodziców. -----

Przed wojną byłem chyba ze 4 razy drużbą na weselu. Ale byłem też tzw. bratem /to drużba od młodej/. W roli tej wystąpiłem u swojej stryjecznej siostry, która wychodziła za mąż za prawosławnego. Ślub był w cerkwi w Żyżmie. Pan młody nazywał się Szawiel. Ślub prawosławny był bardzo ciekawy. Panna młoda przeszła wtedy na prawosławie.

Na wesle wiejskie przychodzili wszyscy ludzie na tańce, dochodziło czasem do rozróbek.

Na weselu było bardzo uroczyste podawanie wianka pannie młodej. Niektórzy umieli wygłaszać przy tym bardzo piękne przemówienia - po polsku i po prostu. Pieśni weselne też były dwujęzyczne.

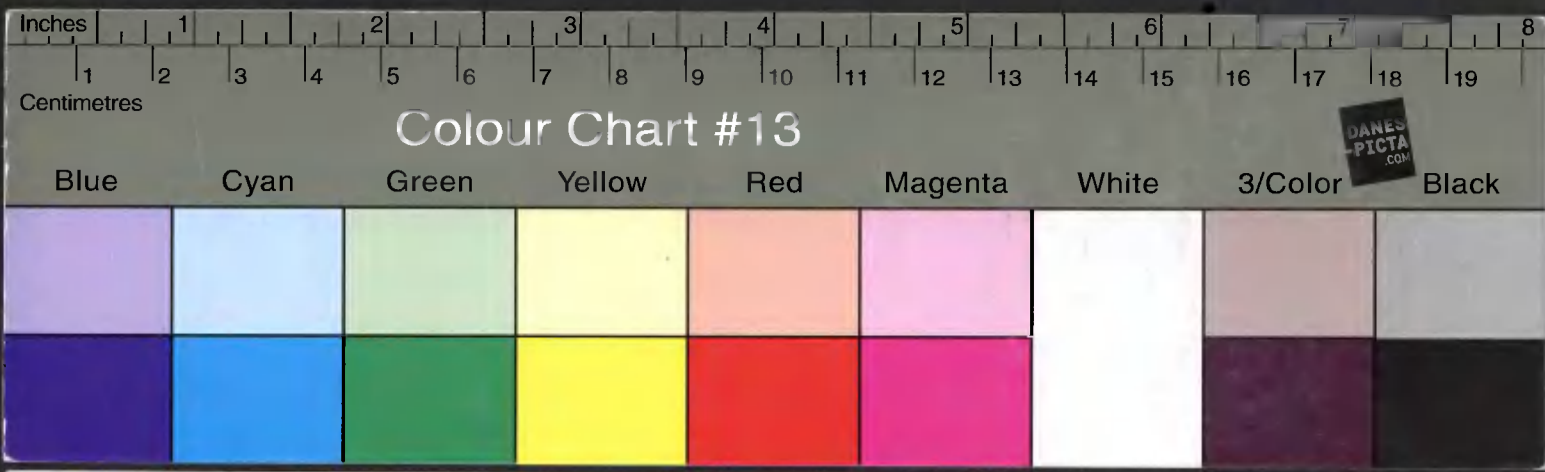
Życie młodzieży było kiedyś dużo weselsze niż teraz. Na wioskach ludzie byli niewykształceni. O świecie wiedzieli bardzo mało. W Kobylnikach była szkoła 3-klasowa.

Ja już od 13 roku życia służyłem po ludziach. Ale wszędzie było mi bardzo dobrze.

Ludzie nie byli zamożni. Rowerów na wsiach było niewiele. W Kobylnikach chyba ze 3 osoby miały rower. Rower kosztował tyle, co 2 liche krowy. Na wsi był krawiec, kowal. Nie było opieki weterynaryjnej dla bydła. Chorego konia trzeba było prowadzić do Lidy, tam była lecznica.

Z warzyw ludzie znali marchew, kapustę, buraki, brukiew, rzodkiew. Nie było pomidorów czy też pietruszki.

+ 24



Przebieg relacji : Jacek Potyński

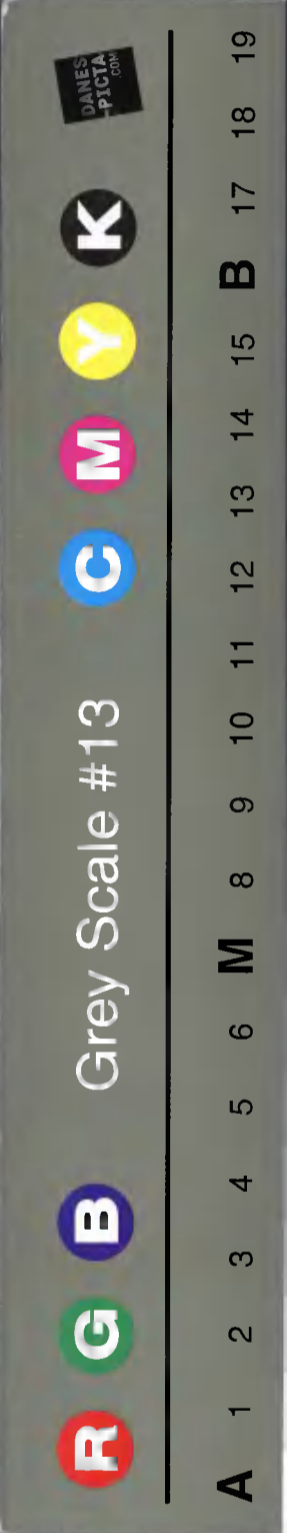
Zygfryd Szynalski ps. Tryk, komendant z-ca, i komendant Kedywu w Brzeżanach, po wkroczeniu wojsk sowieckich dowódca kompanii istrobitielnego batalionu. Po propozycji współpracy z NKWD ucieka do Lwowa i tam się ukrywa w 1945 roku. Relacja jest dopełnieniem Wspomnień napisanych przez Z. Szynalskiego w 1956 roku, które zostały przekazane do Archiwum Wschodniego/kopia/.



We Lwowie nawiązałem kontakt z ocalonymi strukturami i prosiłem, żeby mi pomogli uciec do wolnej i niepodległej podobno ojczyzny. Z ust dowódcy/nazwiska nie pamiętam/padły słowa, że nie jest jeszcze do końca pewne czy Lwów będzie należał do Polski, czy do Związku Sowieckiego. Jak długo ta sprawa się nie rozstrzygnie trzeba będzie pozostać we Lwowie, aby bronić Lwowa przed bandami UPA, to zdecydowało, że zostałem we Lwowie tymczasowo. Kiedy jednak ziemi wschodnie zostały przekazane ZSRS, stwierdziliśmy, że nie ma co tutaj dłużej siedzieć. Odbyła się odprawa AKowców, którzy byli ze sobą w kontakcie, na którym padły słowa, żeby później też być w kontakcie i w miarę możliwości sobie pomagać, bo było już wiadomo, że AK się niszczy. Dostałem zapomogi w wysokości 50 dolarów z pieniędzy AK i którymś z transportów pojechałem do Polski.

Przyjechałem do żony do Zabrza i tam zacząłem szukać pracy. Gdziekolwiek się nie zgłosiłem, to mówili, że nie mają pracy dla bandytów z AK i każdy patrzył na nas takimi oczami, jakby chciał mnie zabić.

Utrzymywałem się z tego, że pomagałem żonie przy prowadzeniu sklepu. Jeździłem i kupowałem towar. W między czasie nawiązaliśmy między sobą kontakt AKowcy z Brzeżan, Tarnopola, Lwowa itp. Każdy czuł się poniżony, że zamiast nas przytulić to, ta nowa ojczyzna PRL potraktowała nas jak bandytów i najgorszych zbrodniarzy.



Przewodniczący relacji : Jacek Potyński

Zygfryd Szynalski ps. Tryk, komendant z-ca, i komendant Kedywu w Brzeżanach, po wkroczeniu wojsk sowieckich dowódca kompanii istrobitielnego batalionu. Po propozycji współpracy z NKWD ucieka do Lwowa i tam się ukrywa w 1945 roku. Relacja jest dopełnieniem Wspomnień napisanych przez Z. Szynalskiego w 1956 roku, które zostały przekazane do Archiwum Wschodniego/kopia/.



We Lwowie nawiązałem kontakt z ocalonymi strukturami i prosiłem, żeby mi pomogli uciec do wolnej i niepodległej podobno ojczyzny. Z ust dowódcy/nazwiska nie pamiętam/padły słowa, że nie jest jeszcze do końca pewne czy Lwów będzie należał do Polski, czy do Związku Sowieckiego. Jak długo ta sprawa się nie rozstrzygnie trzeba będzie pozostać we Lwowie, aby bronić Lwowa przed bandami UPA, to zdecydowało, że zostałem we Lwowie tymczasowo. Kiedy jednak ziemi wschodnie zostały przekazane ZSRS, stwierdziliśmy, że nie ma co tutaj dłużej siedzieć. Otrzymałem zapomogi w wysokości 50 dolarów z pieniędzy AK i którymś z transportów pojechałem do Polski.

Przyjechałem do żony do Zabrzeża i tam zacząłem szukać pracy. Gdziekolwiek się nie zgłosiłem, to mówili, że nie mają pracy dla bandytów z AK i każdy patrzył na nas takimi oczami, jakby chciał mnie zabić.

Utrzymywałem się z tego, że pomagałem żonie przy prowadzeniu sklepu. Jeździłem i kupowałem towar. W między czasie nawiązaliśmy między sobą kontakt AKowcy z Brzeżan, Tarnopola, Lwowa itp. Każdy czuł się poniżony, że zamiast nas przytulić to, ta nowa ojczyzna PRL potraktowała nas jak bandytów i najgorszych zbrodniarzy.

Jak spotykałem się z ludźmi z AK, kiedy jeździłem po towar, to albo byli prześladowani, albo im groziło prześladowanie. Kiedy usłyszeli, że powstał WiN, to się do tego WiNu garnęli. Jeździłem też tutaj na Dolny ŚL. Wrocław, Jelenia Góra, spotykałem się z kolegami i organizacja się rozrastała samorzutnie. Kontakty przekazywałem najpierw Jędrzejewskiemu, a później "Ordonowi"/Bronisław Żeglin/ i stąd powstawały komórki WiNu. Działalność polegała na tym, że się zwiększało przede wszystkim ilość powiązań z byłymi AKowcami. Sądowaliśmy nastroje wśród ludności i na ten temat przesyłaliśmy meldunki "Ordonowi". Próbowaliśmy umieszczać naszych ludzi w UB i milicji. Nawet doszło do tego, że namówiłem jednego z kolegów, żeby wstąpił do milicji w Gliwicach. Potem jak wpadło Archiwum WiN, to on nas zawiadomił. Zresztą też później został aresztowany. Propagandy, przed wyborami nie prowadziliśmy, każdy wiedział, co ma robić. Przychodził Biluletyn Informacyjny O organizacji ogólnej trudno mi coś bliżej powiedzieć.

Zacząły się aresztowania najpierw poza Zabrzem, poinformowała mnie o tym moja łączniczka Krystyna Onychn. Później zaczęły się aresztowania w Zabrzu.

W Zabrzu szedłem ulicą i spotkałem moją sąsiadkę, powiedziała mi, że UB było u mnie w domu. Na szczęście żona pojechała do znajomych do Gliwic. Uciekając spotkałem ją na dworcu w Gliwicach i razem uciekaliśmy. Miałem jeszcze kartę repatracyjną i przerobiłem w niej nazwisko na Skawiński. Pojechałem do Gorzowa Wlkp, tam pracowałem w ubezpieczalni społecznej.

Jak wyszłem z amnestia ujawniłem się i zostałem aresztowany.

/Dalsza część wspomnień w napisanym przez p. Zygfrieda Szynalskiego/